

TERESA PIASECZYŃSKA

ur. 1930; Rzeszów



| | |
|-------------------------|---|
| Miejsce i czas wydarzeń | Polska, II wojna światowa |
| Słowa kluczowe | projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, dom, rodzina, wybuch wojny, dzieciństwo, bombardowanie Lublina, ewakuacja na wschód, Łuck, rozłąka z ojcem, Uściług, przeprawa przez Bug, powrót do Lublina, poszukiwanie mieszkania |

1. Dzieciństwo skończyło się w 1939 r., jak zobaczyliśmy srebrny samolot na niebie

Urodziłam się w 1930 roku w Rzeszowie, ale od 1932 roku mieszkam w Lublinie. Mój ojciec był kapitanem, pracował w DOK Lublin i mieszkaliśmy przy ulicy, obecnie, Radziszewskiego, a dawniej, to była Aleja Zgody, a potem ulica generała Orlicz-Dreszera. Chyba numer 4. Tam też urodziła się moja siostra. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. W 1938 roku zaczęłam chodzić do szkoły - do prywatnej szkoły im. Jana Kochanowskiego, przy ulicy Lipowej. Całą drogę odbywałam sama, szłam sama. I tak zastała nas wojna w 1939 roku. Mieszkało się bardzo wygodnie, bo było duże podwórko, dużo było koleżanek, dużo było dzieci. Tak że swoje „pierwsze” dzieciństwo, to wspominam bardzo dobrze. I wszystko skończyło się w 1939 roku. Pamiętam pierwsze bombardowanie - 1 września. Byliśmy na podwórku i oglądaliśmy srebrny samolot na niebie, i potem się zaczęło. Było bombardowanie i strach. Chyba było 9 września, jak bomba uderzyła w Plac Litewski, i w ten budynek obok chyba DOK-T. I 9 września zostaliśmy ewakuowani na Wschód. Jechaliśmy ciężarówką. Całe szczęście, że mama była na tyle przezorna, że zabrała ze sobą wszystkie rzeczy - zimowe też, bo nie wiem jakbyśmy przetrwali tam do grudnia 1939 roku. I potem, to już właściwie wszystko się zaczęło. Najbardziej pamiętam 17 września 1939 roku, jak zatrzymaliśmy się w jakiejś wiosce pod Łuckiem. Tam byli Ukraińcy, częstowała ich mama papierosami, bo opowiadali, że Związek Radziecki idzie Polakom na pomoc. Samoloty latały. Wtedy nie wiedzieliśmy, że to były już radzieckie. I 17 września wylądowaliśmy w Łucku. Ojciec nas zawiózł do swoich znajomych i tam nas zostawił, a sam poszedł na zbiórkę do generała Smorawińskiego. Byliśmy za małe, nie zdawałyśmy sobie sprawy, że po raz ostatni widzimy się z ojcem. Łuck oglądałam z okna drugiego piętra, jak maszerowali

żołnierze sowieccy. Potem jak aresztowali poszczególnych obywateli na ulicach. I mama zdecydowała się jednak przejść przez granicę. Wtedy jeszcze jakoś mówiło się, że można to zrobić. Więc wyjechaliśmy do Uściługa. Całą tą historię opisałam w takim opowiadaniu: „Pisane miłością losy wdów katyńskich” W takim zbiorze opowiadań. To była cała gehenna, chociaż dzieci absolutnie nie zdawały sobie sprawy, że może być źle, że przecież noc, że mama z dwojgiem dzieci i z rzeczami wsiadała do pociągu, żeby przyjechać do Uściługa - to chyba wieś była albo miasteczko. I potem mieszkaliśmy przez dwa miesiące w chałupie szewca, gdzie nie było podłogi, tylko było klepisko. Mieszkało tam również dziesięciu tak zwanych „bieżeńców” czyli uciekinierów. O siódmej rano wstawał szewc, bo to było mieszkanie szewca, rozkładał warsztat, a wszyscy się rozchodzili, żeby coś kupić, żeby się zorientować czy przepuszczają przez granicę, czy nie. Przypomniałam sobie, jak kiedyś mówili, że: „A teraz będą przepuszczać” Bo był most na Bugu, bo to było niedaleko Bugu. I że Sowietci otwierają granicę, i że można przejść na tak zwaną niemiecką stronę. I tłum ludzi wtedy ustawiał się na gościńcu czy na drodze, która była w ogóle niebrukowana, to było jedno wielkie błoto, bo to był grudzień 1939 roku. Wszyscy szli do przodu. A z boku patrole sowieckie: „Dawaj w pierot” I wszyscy do przodu uderzali. Potem: „Dawaj nazad”- i tłum się cofał. No i na tym się skończyło, że okazało się, że granica wcale nie była otwarta i trzeba było samemu kombinować. I mama jakoś gdzieś załatwiła. To było dla mnie niesamowite, bo ja sobie nie wyobrażam siebie w takiej roli - z dwojgiem małych dzieci, w obcym mieście. I jakoś żeśmy przeszli w nocy, byli przewodnicy jacyś, przemytnicy opłaceni, i przeprowadzili nas przez las nad Bug. Tam się wsiadło do łodzi i na łodzi trzeba było zapłacić, bo wcześniej było by to bardzo nieostrożnie, bo mogli powiedzieć, że nie można teraz przejść i wtedy straciłaś pieniądze i wracałaś bez niczego. Przez Bug przewieźli nas na drugą stronę. Żeśmy się tam nie potopili, to był cud. Bo brzeg Bugu był uregulowany i była taka ściana. Plecaki miałyśmy poszyte z ręczników, bo mama nam poszyła plecaki, i plecaki dwa wpadły od razu do rzeki. I mama jakoś tak nas podciągnęła. Potem myśmy się złapały za ręce, i żeśmy wyciągnęły mamę. I to był akuratnie 6 grudzień –świętego Mikołaja. I żeśmy uklękli wszyscy, żeby się pomodlić, że się nam udało przejść. Na drugiej stronie, to już się szło na przełaj przez mokre łąki, przez jakieś rowy. I doszliśmy do jakiegoś gospodarstwa, gdzie nas bardzo serdecznie przyjęli. Od razu, pamiętam do dzisiaj, dali nam chleb z serem i z cukrem. I od razu nas rozebrali i wsadzili do łóżka. Poszłyśmy spać. Byłyśmy brudne i zawszone, bo tam się nie było gdzie się myć w tej chałupie. No i na drugi dzień już normalnie furmanką przyjechaliśmy do Hrubieszowa, i z Hrubieszowa pociągami do Lublina na stary adres - na ulicę Orlicz-Dreszera, bo w mieszkaniu została moja babcia. I jak się okazało potem, to był już blok oficerski i mieszkali tam niemieccy oficerowie. Babcię przenieśli na Chopina. Zabrali wszystkie rzeczy, nawet nasze lalki. Wszystko zostało zabrane. [Przenieśli] do mieszkania chyba na drugim piętrze, na Chopina. To było nie w tym bloku, gdzie w tej chwili są buty, tylko w poprzednim, ale

nie pamiętam który numer. I tam myśmy przyjechały i przez jakiś czas, chyba miesiąc czy dwa miesiące, się mieszkało, bo nas stamtąd wyrzucili. I [później] przerwali nas do biblioteki na dole. Taka była duża biblioteka, i tam wszystkie rzeczy zostały złożone, i myśmy tam mieszkali przez jakiś czas. Do wiosny, ze trzy miesiące. A potem kazali nam się wynosić. A mieszkanie, to sobie mama musiała sama znaleźć. Znalazła na Dziesiątej, przenieśliśmy się tam, i już potem na Dziesiątej mieszkaliśmy. Mama nasprzedawała rzeczy najpierw, żeby się jakoś utrzymać. Potem znalazła pracę w warsztatach samochodowych. Tu na Kapucyńskiej były warsztaty samochodowe i mama tam pracowała. Mama знаła dobrze niemiecki, tak że jakoś sobie poradziła. A myśmy chodziły do szkoły numer 14 na ulicy Kochanowskiego.

| | |
|--------------------------------|--|
| Data i miejsce nagrania | 2017-02-21 |
| Rozmawiał/a | Tomasz Czajkowski |
| Redakcja | Mateusz Czekał |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |